

## OSTATNIE OFIARY STALINIZMU W POLSCE W OKRESIE STANU WOJENNEGO 1981-1983 I ICH OBROŃCY

---

**Wywiad z Grzegorzem MUSIDLAKIEM  
przeprowadzony przez Grzegorza Kaczorowskiego  
w Regulicach k. Alwerni, dn. 17 lipca 2008 roku**

Nazywam się Grzegorz Kaczorowski. Jestem ankieterem Fundacji KOS, która prowadzi badania zatytułowane: "Ostatnie ofiary stalinizmu" i „Ocalmy od zapomnienia”. Celem naszego badania jest zebranie świadectw osób, będących ofiarami represji w okresie od 1945 do 1989, ze szczególnym uwzględnieniem stanu wojennego. Ponieważ nasza praca ma charakter dokumentacyjny, nasza rozmowa będzie rejestrowana za pomocą dyktafonu i kamery.

**Czy mógłby się Pan przedstawić?**

Nazywam się Grzegorz MUSIDLAK.

**Gdzie i kiedy się Pan urodził?**

Urodziłem się 22 lutego 1960 roku w Gnieźnie.

**Chciałbym porozmawiać z Panem chwilę na temat historii Pana rodziny. Kim byli Pana rodzice?**

Mama nie pracowała zawodowo. Utrzymywała rodzinę w domu. Ojciec był robotnikiem, pracował na terenie Witkowa w kilku zakładach świadczących usługi dla rolnictwa- Państwowy Ośrodek Maszynowy, Spółdzielnia Kótek Rolniczych.

**Rodzice pochodzili w poznańskiego, z Wielkopolski?**

Tak. Mama urodziła się w 1936 roku w Wielkopolsce, ojciec też, w tej samej wsi, która nazywała się Dębina, pod Witkowem. Ale rodzice mojej mamy pochodzą z Podhala, z Klikuszowej, z okolic Obidowej. Część rodzeństwa wraz z rodzicami przeemigrowała do Wielkopolski, a mama była pierwszym dzieckiem, które urodziło się w Wielkopolsce.

**Czy ma Pan rodzeństwo?**

Tak, mam pięcioro rodzeństwa, dwóch braci i trzy siostry. Właściwie, to nawet trzech braci, ale jeden brat zmarł jako niemowlę.

**Czy mógłby Pan powiedzieć coś o swoim domu rodzinnym? Czy rodzice byli zaangażowani w jakąś działalność- społeczną, bądź polityczną?**

Nie. Takiego określenia nie mógłbym użyć. Rodzice wychowali nas w duchu nieobojętności na sprawy społeczne. Tak bym to powiedział. Na pewno dużo angażowaliśmy się w pracy przy kościele. Byliśmy ministrantami, organizowaliśmy pielgrzymki, pomagaliśmy różnym ludziom, w postaci różnych form organizowanych przy kościele. Natomiast jakiejś typowej działalności politycznej, czy społecznej w rodzinie nie było.

## **Rodzice nigdy nie byli w PZPR?**

Nie! Mama z wiadomych względów. Ojciec pracując w różnych zakładach pracy nie był w partii. I wiem, że nie był nigdy w partii we wojsku, ani w ZMS-ie. Jedyne co ich w życiu spotkało i czego „skutkiem” również ja jestem, były te przymusowe wyjazdy na prace w późnych latach pięćdziesiątych. ZMP i tak dalej... Ale na wsi to była łapanka i wszyscy musieli jechać. Nie trzeba było być członkiem.

## **Czy mógłby Pan wskazać szczególnie ważne wartości, które Pan wyniósł z domu rodzinnego?**

Na pewno sam fakt pochodzenia z dwóch różnych stron Polski. Mama mimo wszystko odziedziczyła geny galicyjskie, czy podhalańskie. Ojciec był Wielkopolaninem i ojciec wpoił nam poczucie, że praca przede wszystkim. Że najpierw praca, potem przyjemności. Bardzo trudno było z ojcem negocjować 5 złotych na kino. Po to się szło do mamy. Na pewno lotność i oderwanie od pracy zapewniała nam mama. Tata nas jednak wprzęgał do ciężkiej pracy. A ponieważ było nas w domu sześcioro, dom był postawiony w latach 60-tych we Witkowie, więc pracy było sporo. Na pewno też umiłowanie tradycji patriotyczno-kościelnej. Pamiętam, że mama, stojąc pod kafłowym piecem (my leżeliśmy już wtedy w łóżkach) śpiewała nam różne pieśni. I kościelne i patriotyczne. Np.: „Szary strzelca strój”, „Przybyli ułani”, „Czerwone maki”. Tego nauczyła nas mama śpiewając po nocach w ramach kołysanki.

## **Porozmawiajmy teraz na temat Pana działalności społecznej i opozycyjnej. Wspomniał Pan o ministrantach. Czy mógłby Pan rozwinąć ten temat?**

W takim małym miasteczku jak Witkowo, które było dychotomicznie podzielone na „bazę” i na „miasto”... „Baza” to było osiedle wojskowe, gdzie mieszkali żołnierze zawodowi (nawet do pewnego czasu jeden blok należał do żołnierzy radzieckich) z pobliskiego Powidza. I ta dychotomia kładła się cieniem na całe Witkowo. Tam opieka różnych służb była dużo większa, tam strach też był większy. Ten późniejszy podział na „my” i „oni” myśmy wysysali z mlekiem matki, bo myśmy to widzieli. Osiedle dla wojskowych, sklepy dla wojskowych, kasyno, restauracja, kawiarnia, nawet poczta. To był inny świat. Z tego względu myśmy bardzo szybko zaczęli się buntować. Na pewno jedyną formą, jaka wtedy przed nami, ludźmi „z miasta” zaczęła się rysować, była ministrantura i to, co organizował Kościół. Kościół organizował nam mecze piłki nożnej, wycieczki do Krakowa, później pielgrzymki, zajęcia samokształceniowe. I to samo przez się, w takim środowisku było odbierane jako wyjątkowej odwagi działalność wywrotowa. W późnych latach 70-tych, od 76 do 78 roku, kiedy poszedłem do szkoły średniej do Inowrocławia, [miały miejsce] pierwsze oznaki zainteresowania milicji, pierwsze „ślepe” wezwania, bez powodu... Oczywiście, nikt z nas na te wezwania nie chodził. Ja do dziś w swojej dokumentacji mam takie wezwanie. Kiedy rozpocząłem naukę w Inowrocławiu, milicja próbowała mnie wzywać. Oczywiście- nie byłem. To na pewno było związane z tą pracą przykościelną. I na pewno myśmy to wykorzystywali w różnych celach: i kolportaż literatury i kolportaż pism... Pierwsze pisma KOR-owskie, w 78-79 roku docierały do nas, do Witkowa, od jezuitów z Warszawy przez księży w Słupcy. A księża w Słupcy do księdza w Strzałkowie... A Witkowo to był dekanat strzałkowski. Myśmy w Witkowie, po oficjalnej części spotkania ministrantów czytali „Robotnika”. To był ewenement jak na takie miasteczko.

## **Czy mógłby Pan wymienić postaci księży, którzy wywarli szczególny wpływ na kształtowanie Pana świadomości?**

Przede wszystkim zacząłbym od szkoły. Dlatego że w Witkowie wówczas były dwa budynki szkolne. Jeden piękny, okazały, chyba jeden z najpiękniejszych budynków szkolnych w Wielkopolsce, a na pewno w takich miasteczkach jak Witkowo. To była nasza szkoła podstawowa im. Romualda Traugutta. Myśmy tam mieli znakomite nauczycielki. Część z nich to były żony oficerów z osiedla wojskowego. Ale to były dziewczyny, kobiety wychowane na wsi kieleckiej i one reprezentowały jakąś przyzwoitość. I proszę sobie wyobrazić, że na szkolnych akademiach, w 70-tych latach (ja miałem 10-12 lat) myśmy śpiewali piosenki i obchodzili rocznicę Powstania Styczniowego. Myśmy obchodzili rocznicę Powstania Wielkopolskiego. Nikt się nie bał nas tego uczyć. Ja to dzisiaj, po latach stwierdzam. Wtedy nie miałem tej świadomości. A tę świadomość na pewno rozbudziła w nas trochę szkoła. Na pewno tę wiedzę poszerzył nam Kościół. I tutaj wymieniałbym osobę księdza Tomasza Pety, obecnego arcybiskupa Astany w Kazachstanie, który w 76 roku przyszedł do nas jako wikariusz. I właściwie na całym pokoleniu 30, 40, 50-latków odcisnął ogromne piętno. I to jest do dzisiaj widoczne. Każdy przyjazd, każdy kontakt z nim gromadzi tłumy ludzi we Witkowie. I tak samo było ze mną i wiele razy już to podkreślałem, że pewnie dlatego wyłądownałem w szkole średniej w Inowrocławiu. Myśmy we Witkowie mieli dwie ważne świadomości patriotyczne. Z całą pewnością wiedzieliśmy (dziś już nie bardzo wiem skąd, kto mi to pierwszy powiedział), że udział Witkowiec w Powstaniu Wielkopolskim był czymś niezwykle ważnym i bohaterskim. I że to była dla nas duma. Później poznałem szczegóły. Drugim etapem, jakby kontynuacją tej tradycji było to, żeśmy na ulicach Witkowa mogli oglądać dowódcę „Parasola”, pana Adama Borysa, który z żoną, powolutku, szedł rano na działkę, wieczorem wracał. To był pewien rytuał. Myśmy go widzieli. Człowiek prosty jak struna, wyprostowany, wojskowym krokiem... Suchą rękę miał jako ranę z Powstania Warszawskiego. Te dwie świadomości były dla nas niezwykle ważne. Oczywiście, rozmawialiśmy o tym albo w jakiejś ciszy albo w jakiejś konspiracji. Potem, kiedy nasza świadomość wzrastała, zaczęliśmy odwiedzać Pana Borysa. Sam mam piękną dedykację w monografii „Parasola”. Dla mnie osobiście, zwieńczeniem tej tradycji od Powstania Wielkopolskiego, poprzez Powstanie Warszawskie, był fakt, że zostałem internowany w oficerkach i w bryczesach. Tak że, ktoś gdzieś napisał w jakimś artykule, że wyglądałem jak chłopak z oddziału Pługa, majora Borysa. Ale, zasadniczo, równie dobrze mogłem wyglądać jak ten młokos z 1918 roku. Ja to dzisiaj mówię z niejakim wzruszeniem, bo dopiero po latach to odkrywam. Widzę, że na pewno pomogła nam w tym szkoła. Bo, mimo wszystko, ten budynek był nobliwy i tę historię tam się czuło. Na pewno później kościół i na pewno zostało to ugruntowane w rodzinie. Niewiele jest środowisk takich małych, takich zapyziałych, takich, można powiedzieć, bez znaczenia, bez zakładów pracy, bez siły sprawczej, bez strajków, bez struktur Solidarności, gdzie Urząd Bezpieczeństwa prowadził kilka kwestionariuszy. Tam mnóstwo osób było aresztowanych. To nie wzięło się z powietrza. Przy takiej strukturze. Procentowo [w stosunku] do Konina, to Konin nie ma żadnego porównania z Witkowem. Ile tam ludzi mieszka, ile tam jest zakładów pracy, ile tam było prowadzonych kwestionariuszy ewidencyjnych przez SB, a ile w Witkowie.

### **Jak wyglądała Pana dalsza droga edukacyjna? Wspominał Pan o Inowrocławiu, o liceum...**

W Inowrocławiu byłem w technikum elektrycznym i tam po roku zastał mnie wybuch Solidarności. I z tego co pamiętam i co mam udokumentowane, mocno tam się zaangażowałem w tworzenie Solidarności uczniowskiej. Drukowaliśmy ulotki w Zarządzie Regionu, tam poznałem pana Rulewskiego. Dla mnie to były takie postaci święte. Pamiętam, że strasznie też przeżywaliśmy tę całą prowokację z

Bartoszcze...Tak wyglądała moja szkoła średnia. Nigdy kłopotów z nauką nie miałem, więc mogłem tego czasu poświęcić więcej na wszystko inne niż na naukę. Więc to chłonałem. To był dla mnie owoc zakazany. Że można to dotknąć, że można tę bibułę wziąć do ręki. W Inowrocławiu, w Solidarności uczniowskiej to było inspirowane przez Zarząd Regionu z Bydgoszczy. Ale inicjatywa raczej była inowrocławska. Pamiętam parę osób, które się w to angażowały. Naturalnie, że na sobotę i niedzielę brałem to wszystko do torby i jechałem do Witkowa. Jak była Solidarność uczniowska w Inowrocławiu, to próbowaliśmy coś takiego robić i w Witkowie. To oczywiście się nie udało, bo środowisko jednak [było] za małe. Potem, w październiku w 81 roku rozpocząłem studia w Lublinie na KUL. Tam należałem do Koła Polonistów i oczywiście od razu do NZS-u. No i tam zastał mnie stan wojenny. 13 grudnia szczęśliwie uniknąłem aresztowania w akademiku. Aczkolwiek Służba Bezpieczeństwa, która tam przyszła, jak się później dowiedziałem od księdza kapelana akademika i od kierownika, podała moje nazwisko i bardzo pilnie czekali czy wrócę. A myśmy wtedy akurat byli na takim opłatkach, bo w środowisku akademickim KUL-u był taki zwyczaj organizowania opłatków diecezjalnych czy środowiskowych. To był już okres przedświąteczny i myśmy ten opłatek mieli w Krężnicy Jarej i nawet nie mieliśmy wracać. To był przypadek... Myśmy się rano dowiedzieli, że jest stan wojenny. Tak że wyczuwało się pewną atmosferę. Wówczas do domu nie wróciłem. Wróciłem dopiero w okolicy świąt.

### **Do domu, czyli gdzie?**

Do Witkowa. Bo ja mieszkałem wtedy w akademiku w Lublinie. Wróciłem do Witkowa. Zdaje się, że w dzień Wigilii. To nawet jest pewne. I na Pasterce służyliśmy do mszy, starsi ministranci. Taka doborowa akcja. Większość miała plakietki i znaczki Solidarności na komży albo pod komżą. Komża była z koronki, więc i tak było widać co tam jest. Na koniec Pasterki była śpiewana pieśń: „Boże, coś Polskę”, więc oczywiście wszystkie ręce do góry. No i to chyba przelało czarę goryczy, bo starania poszukiwania mnie z Lublina spotkały się z donosami w Witkowie i szybko stwierdzono, gdzie ja jestem. Spodziewałem się jakichś problemów, więc zaraz po świętach zniknąłem znowu na parę dni. Ale kiedy się dowiedziałem, że w Witkowie jest spokój, wróciłem 15 stycznia. No i trzy dni zajęło[to] Służbie Bezpieczeństwa, aby skojarzyć, że jestem w Witkowie. 19 stycznia zapukano do drzwi i zostałem aresztowany. Dwa dni spędziłem w areszcie śledczym w Koninie. To zresztą dzisiaj jest przedmiotem śledztwa z urzędu w Instytucie Pamięci Narodowej przeciwko tym funkcjonariuszom. I tu jest ewenement, bo starczyło materiału, aby oskarżyć komendanta wojewódzkiego w Koninie, pana Zenona Jakubowskiego i pana, wówczas porucznika, Romana Karpińskiego. Dzisiaj wiem (pewne rzeczy, które będę mówił, to jest ekstrapolacja), i na to są dokumenty, bo otrzymałem 900 stron z IPN, że zajmowały się mną trzy wydziały: III i dwa wydziały IV SB. Czyli to było coś nieprawdopodobnego. Gdybym wówczas miał świadomość, że jestem tak obserwowany, tak inwigilowany, nie wiem, czy byłbym takim bohaterem. Bo być może względy zachowawcze, rozsądkowe spowodowałyby, że jakoś bym stonował swoją działalność. Ale, nie jestem pewien. Może nie. Więc to było nieprawdopodobne. Bo wydział III, wiadomo- Konin, Lublin, do tego dochodzi jeszcze Poznań, bo tam miałem różne praktyki wydawnicze itd. Wydział IV... W Koninie nie było takiego profesjonalnego wydziału IV zajmującego się duchowieństwem, ale była samodzielna sekcja, która pełniła obowiązki wydziału IV. I oni zajmowali się mną z tego względu, że zajmowali się środowiskiem kościelnym w Witkowie. Oczywiście, ja jadę do Lublina, więc za mną idą telefonogramy do Lublina. Tam wydział IV, wydział III... Jadę do Poznania na praktyki, to wydział IV z Lublina prosi wydział IV z Poznania, żeby się figurantem zainteresować i o wszystkim meldować. To było przerażające. Myśmy wtedy mieli świadomość, o czym powiedziałem na początku, wynikającą z dychotomii

Witkowa. Na przykład w 1978 roku była taka akcja kościelna: nawiedzenie obrazu Matki Boskiej. To była akcja ogólnopolska. W 1978 roku takie nawiedzenie było w Witkowie. Myśmy na wieży kościelnej jako ministranci, trochę chyba wbrew woli proboszcza (albo że niby nic nie wiedział, i bardzo dobrze), na cztery strony świata, na samym czubku, z jarzeniówek metrowych i półmetrowych wykonali dwa krzyże, na wschód i na zachód i dwie litery M, na północ i na południe. Krzyż na zachód dlatego, że tam była ta baza i osiedle wojskowe, na wschód dlatego, że tak wyszło. Szalone były naciski na proboszcza. I proboszcz się nie ugiął. Nigdy tego nie wyłączył, nigdy tego nam nie polecił zdjąć. To był styczeń, luty- i aż do Wielkanocy to wisiało. Od Bożego Narodzenia... Dzisiaj wiem z dokumentów, że ci wszyscy politrucy z osiedla wojskowego, z tego Powidza, meldowali do DW LOT na Kościuszki, że „co się tu dzieje...” DW LOT w Poznaniu słał telefonogramy do Konina, żeby uspokoić to środowisko przy kościele, tego wikarego, tych ministrantów, itd., itd. 78 rok to już była sprecyzowana inwigilacja wymuszona czynnikami wojskowymi, bo to wszystko raziło tych oficerów. I tak samo ten stan wojenny... Ja nie ukrywam, że jak byłem w Witkowie, chodziłem w takich przedwojennych oficerkach, galowe spodnie bryczesy, kurtka skórzana, jedwabny szalik. Wyglądałem jak chodzący symbol opozycji. I teraz naprzeciwko mnie idą ci wojskowi w kamazach z osiedla. To musiało ich drażnić. Niektórzy się śmiali, ale niektórzy, którzy znali wagę takiego symbolu... To ich irytowało. Oni nie mogli tego przeżyć, dlatego w pewnym sensie musiałem być zlikwidowany nawet za samą symbolikę. Bo takiej działalności solidarnościowej w Witkowie nie było. Były jedna, dwie, trzy osoby, które czegoś próbowały. Ale żaden zakład się nie poderwał. Żadnych oznak strajku z powodu stanu wojennego. Tego w ogóle nie było w Witkowie i w okolicy. I trudno mieć pretensje do ludzi, bo nie było środowiska, które byłoby tak mocne. Biorąc pod uwagę to, ile było później prześladowań, ile kwestionariuszy ewidencyjnych, ile spraw prowadzonych, ile operacji, to rzeczywiście ta nasza działalność, z której myśmy sobie wtedy nie zdawali sprawy przynosiła jakiś skutek. Przynajmniej w ramach odwetu esbeckiego.

**Jesteśmy na początku stanu wojennego. Czym było dla Pana wprowadzenie stanu wojennego? Jakie uczucia w Panu wzbudziło?**

Przede wszystkim złość! Pamiętam, że to była przeogromna złość. Myśmy żyli, przynajmniej ja, jako młody człowiek... nam się spełniała taka triada: wybór papieża, potem Miłosz przyjeżdża do kraju (ja się fascynuję do dzisiaj postacią i twórczością Miłosza), potem Solidarność. Ktoś to powiedział, chyba świętej pamięci Drawicz, że wtedy Polaków spotkał wybuch trzech cnót: wiary, nadziei i miłości- Miłosza- tak to sobie sparafrazował. To był taki nieustanny zachwyt, takie podniecenie, że może to już jest teraz. Te wiekowe marzenia się spełniają. Myśmy się spodziewali, wiedzieli... Jak byłem w Inowrocławiu, w szkole... Ta cała prowokacja bydgoska, pobicie Rulewskiego, te zdjęcia wiszące na ulicach... to było widać, ja to przeżywałem. Mieszkałem w internacie, z chłopakiem, którego brat był w Dąbrowie Górniczej. Był członkiem i przewodniczącym Zarządu Regionu. Rozpłochowski. Czyli myśmy mieli tego wszystkiego pełne szuflady, pełne teczki. No i też nas obserwowano, o czym nie wiedzieliśmy. Więc przede wszystkim złość wynikająca z przekreślonej nadziei. Być może [stąd] właśnie ta moja demonstracja. Bo cóż więcej mogłem w Witkowie zrobić? Nic więcej. Nie poderwałbym do boju, do strajku nikogo. Do Lublina też mógłbym pojechać rozwozić gazetki. Uznałem, że w Witkowie, jak tu wrócę, coś więcej zdziałam. Trochę się pomyliłem, bo niewiele zdziałalem. Ale okazało się, że moje myślenie było właściwe, że właśnie samą symboliką można było systemowi zaszkodzić. Przynajmniej w takim Witkowie.

**Jaki był Pana stan cywilny w tym czasie?**

De iure, czyli wobec prawa, byłem kawalerem. Miałem swoją sympatię. To wszystko był pełen romantyzm, bo zapukano do moich drzwi jak pisałem rozprawkę o „Dziadach”. Do dzisiaj mam ten brudnopis. To było niezwykle nośne, te symbole. Zresztą okoliczność tej znajomości, tej sympatii, czy tej przyjaźni, SB doskonale znała i wykorzystała tę okoliczność w czasie internowania, strasząc mnie w czasie jednej czy dwóch rozmów, kiedy tam przyjechał funkcjonariusz, pan Karpiński i powiedział: „No wie Pan, ta Pana koleżanka, czy sympatia, ona wieczorem tak wraca z tego szpitala, a to jest takie odludzie... Do tego autobusu taki kawał się idzie...”. No i proszę sobie teraz wyobrazić młodego zakochanego chłopaka, który siedzi w więzieniu i myśli jak ta dziewczyna, po tej praktyce, wraca z tego szpitala do domu. Ten sam człowiek, kiedy przychodził do doktora Brzezińskiego mówił: „Ty głupku, ty siedzisz, a twoja żona po całym mieście urzęduje.”. To była znana technika i myśmy tej techniki byli świadomi, ale nigdy nie wiedzieliśmy, gdzie jest frazeologia, a gdzie się zaczną jakieś działania. Tego nikt nie wiedział. Tylko wyobraźnia czy jakaś siła wewnętrzna powodowała, że jakiś zakres czy stopień tej ingerencji odsuwaliśmy, czy mieliśmy siłę odsunąć. Niektórzy nie mieli tej siły i się strasznie załamywali. I to było widać. Natomiast mnie się jakoś z Bożą pomocą udało to przetrwać.

**Zanim wrócimy do internowania i opisu tych wydarzeń mam takie pytanie: czy w okresie „karnawału Solidarności”, podejmując te wszystkie działania miał Pan świadomość ewentualnych represji jakie mogą spotkać Pana albo rodzinę?**

Wszelkie rewolucje robią ludzie młodzi, dlatego że tej świadomości nie mają. To jest ogólna prawda historyczna. A nawet jeśli ją mają, to odwaga, czy zapał są tak mocne, że to jest przygłuszone. Na pewno widząc, co się działo w Bydgoszczy, a byłem parę kilometrów od tego, widząc tę atmosferę w Inowrocławiu, widzieliśmy, że to nie są przelewki. Tylko też byliśmy doskonale jak na tamte warunki zorientowani, że to jest pewna przepychanka, że to służy jakiejś grze politycznej. Ale jednak ta świadomość była. Czy ja się obawiałem? Wydawało mi się, że ta moja działalność jest tak nieszkodliwa, że oczywiście nic złego nikomu nie może się wydarzyć. Tak mi się wydawało. Potem okazuje się, że się myliłem, bo oni tę działalność kwalifikowali zupełnie inaczej niż moje o niej wyobrażenie. Jeszcze raz chcę podkreślić: no, co my w tym Witkowie mogliśmy zrobić? Po prostu dawaliśmy świadectwo pewnym wartościom. Przez zachowanie, przez odnoszenie się do różnych rocznic, świąt, przez odnoszenie się do pewnej symboliki, aż po fakt, że chodziłem w odpowiedni sposób ubrany. To było chodzące Powstanie Warszawskie. Ja nie miałem świadomości, że za strój mogę zostać aresztowany. A w pewnym sensie tak było, bo potem się dowiedziałem, że te czynniki polityczne na osiedlu uważały, że jest to jawna i wroga demonstracja niechęci. „Zapluty karzeł reakcji”, „element antykomunistyczny”. Wszystkie te plakietki żeśmy nosili poupinane jeszcze potem w latach osiemdziesiątych - pierwszym, drugim, trzecim, czwartym... Sam stan wojenny w Witkowie to jest wprowadzenie stanu wojennego, potem 15 stycznia jakieś ruchy wykonaliśmy, 19 stycznia jestem aresztowany. To siłą rzeczy nie tylko my, bracia [działaliśmy]. Nas akurat było trzech braci, ale też była cała masa kolegów. I, jak się dzisiaj dowiaduję, to [właśnie] najbardziej bolało Służbę Bezpieczeństwa, że my pociągamy ludzi. Więc wystarczy nas ukrócić, a nie będzie tego przykładu. No i próbowano wpływać na kolegów. Ale muszę dzisiaj powiedzieć, że generalnie wszyscy zachowali się przyzwoicie. Trudno mieć pretensje do chłopca, który ma 16 lat, że jak został aresztowany powiedzmy w 85 roku, a ojciec ornowiec przemówił mu do rozumu, to dziecko po pięciu godzinach zmienia zeznania i mówi, że teraz mu się przypomniało. Ale wiemy, skąd się takie coś wzięło.

**Wróćmy zatem do historii Pana internowania. Skończyliśmy na przewiezieniu Pana do Konina.**

Sama okoliczność aresztowania i dwa dni pobytu w areszcie śledczym w Koninie dzisiaj jest przedmiotem oskarżenia publicznego. Ciągłe muszę wracać do tego stroju. Bo kiedy zostałem aresztowany, trzeba było się ubrać. Więc się ubrałem, tak jak chodziłem. Więc, skoro oficerki to również kurtkę. Mama rwała włosy z głowy. „Dziecko- mówiła- nie ubieraj się tak.” A ja na to, że to jest mój strój. I ja w tym stroju pojechałem do aresztu. Kiedy wszedłem do pokoju przesłuchań, czy też zatrzymań, wpadł ten komendant w moro i w kamaszach. Miałem ogromny niesmak do tego ich wyglądu. Ja się fascynowałem wojskowością, może przez tego pana Borysa, przez Powstanie Wielkopolskie, i jak ja widziałem te ich mora, te ich buty jak walonki ruskie... A ja w wyświeconych oficerkach. On wpada i mówi: „A ostrogi masz”? Ja siedzę cicho i się nie odzywam. „A pistolet masz?” I kopnął w krzesło. Oczywiście ja spadłem. To są relacje opisane w śledztwie, więc będzie można skopiować ten materiał, bo on jest przecież jawny. No i to jest właśnie ten przypadek, że szeregowym człowiekiem, gdzieś tam z małego miasteczka zajmuje się komendant. Bo ja im przez te lata psułem statystykę. Psułem im statystykę, robiłem im bałagan. Musieli się z tego rozliczać. Mało tego- byli indagowani przez DW LOT, przez inne takie, „co się tam w tym Witkowie dzieje?”. A oni nie mogli sobie poradzić, bo siatkę agentów zbudowano później. Tam byłem dosyć przykro potraktowany, najpierw kopnięto w krzesło, potem mnie popychano. Dwa dni spędziłem w tym Koninie nieustannie przesłuchiwany. Ja straciłem rachubę jaka jest część dnia czy nocy, dlatego że w areszcie nie było okien. Potem byłem w piwnicy, w której też nie było żadnego okna. Zegarek oczywiście też miałem zabrany. Potem dowiedziałem się, że ojciec tam był, próbował się czegoś dowiedzieć. Więc ojcu oczywiście powiedziano, że jutro wrócę do domu. Ojciec przyjechał na drugi dzień. Powiedziano mu: „Tak, tak, jeszcze rozmawiamy z synem.”. Później, jak już ustaliłem z ojcem, to już było w czasie, kiedy miałem w ręku decyzję o internowaniu. Ojcu do końca nic nie powiedziano. Więc ojciec wrócił do Witkowa przekonany, że to już się kończy, że za chwilę będę zwolniony.

### **Wtedy był Pan studentem pierwszego roku polonistyki na KUL?**

Tak. Byłem poza tym członkiem NZS-u, z legitymacją, z odznaką. Byłem członkiem komisji wydawniczej w NZS-ie. Bo to mnie zawsze bardzo fascynowało. Myśmy przy okazji np. pielgrzymek uczyli się wydawać, kserować, powielać. Z tego byliśmy znani.

### **Gdzie dostał Pan skierowanie na internowanie?**

Pod tym względem obowiązywała pewna regionalizacja. Każda komenda Wojewódzkiego Wydziału Spraw Wewnętrznych miała przydzielone własne ośrodki internowania. A ponieważ decydowało miejsce zameldowania i mną się zajmował Konin, więc wylądowałem w Mielęcinie pod Włocławkiem. To było legalne, profesjonalne więzienie dla młodocianych. Tam jeden blok opróżniono, gromadząc więźniów [kryminalnych] ponad normę w innych celach, a ten jeden blok był przygotowany specjalnie dla nas. Jak się potem dowiedzieliśmy od innych więźniów ten jeden blok stał pusty już w sierpniu i wrześniu. Ta świadomość że to było planowane dużo, dużo wcześniej dopadła nas już tam. Że to nie były pogłoski, że to była prawda. Ten blok stał pusty, gotowy do przyjęcia już sierpniu.

### **Dużo było wtedy politycznych w Mielęcinie?**

Tam też wtedy zachowano pewną regionalizację, więc trafiłem do jednej celi z ludźmi z Konina, z Płocka, z Włocławka. Kilkadziesiąt osób było- 80. Już dokładnie nie pamiętam. Generalnie to byli działacze Solidarności, struktur zakładowych. Takich politycznych więźniów z innej działalności było bardzo niewiele.

## **Chodzi mi o politycznych, w odróżnieniu od kryminalnych.**

No, myśmy się z nimi nie kontaktowali. Oni byli w innym bloku, w zupełnie innym budynku. Natomiast obsługiwali nas. Ta funkcja nazywała się kalifaktor. Oni przynosili nam jedzenie itd. W pierwszych tygodniach, w pierwszych miesiącach. Bo potem cała ta procedura (to już jest osobna historia) łagodniała wymuszona przez Czerwony Krzyż czy przez pozory normalizacji.

## **Jak długo Pan był w obozie dla internowanych i czy prowadziliście wówczas jakąś działalność?**

W obozie byłem do 23 lipca 1982 roku. Wtedy dostałem decyzję o zwolnieniu.

## **W ramach amnestii?**

Tak, to była amnestia. Co w Witkowie się działo? Wiem, że w tym czasie brat z kolegą próbowali różnych form [działalności]. Głównie to były napisy. Wiem, że stary budynek komisariatu milicji obmalowali farbą z symbolem Polska Walcząca. To był też akt jakiejś odwagi. Nie wiem czy do końca ktoś zdawał sobie sprawę, ale wiedząc, że ja siedzę, że to jest realne, i że to nas może w Witkowie dotknąć, no to trzeba uznać taki akt za sporą odwagę. Żeby wymalować znak Polski Walczącej na komisariacie milicji, który 24 godziny na dobę pracuje, to trzeba być bardzo młodym i bardzo gniewnym.

## **I to w stanie wojennym!**

I to w stanie wojennym! Ale stan wojenny w 82, 83 [roku], a 84 rok to są już zupełnie różne kategorie. To trzeba mieć tego świadomość, że w 82 roku do lata, czy do września to jest zupełnie inny czas niż rok np. 1985. Myśmy tej działalności w stanie wojennym nigdy nie zaprzestali. Najlepszy [tego] dowód mam dzisiaj z dokumentacji IPN, że Służba Bezpieczeństwa dokonywała oceny sytuacji w środowisku inwigilowanym i co roku we wrześniu- październiku zdawała relację swoim przełożonym jak wygląda sytuacja i jakie są [podejmowane] kroki. I w odpowiedzi na pytanie o dalszą kwalifikację do internowania, czy na wypadek, gdyby powtórzył się schemat, typowano pewne osoby do internowania, do zatrzymań itp. Moi braci i ja, a także dwóch naszych kolegów, mieliśmy taką kwalifikację do ponownego internowania i zatrzymania do listopada 1989 roku. Wtedy dopiero [to] zniesiono pod pretekstem tej następującej stabilizacji. To też, w odróżnieniu od Konina, Strzałkowa czy Słupcy (posługuję się przykładem tych miasteczek nie z sympatii, tylko [dlatego że] wtedy to było województwo konińskie). Myśmy z tym też uparcie walczyli, że nie chcemy do Kongresówki, my jesteśmy poznaniacy. I zawsze to zaznaczaliśmy. Ale w porównaniu z tymi miasteczkami, to też było ewenementem. No, bo w takim Koninie takich osób [z kwalifikacją do ponownego internowania] też było cztery, czy pięć. A w Witkowie też pięć. Więc gdzie jest jakaś waga?

## **Czy w Mielęcinie internowani, w tym Pan, zajmowali się jakimś drukowaniem, robieniem pieczętek, znaczków...?**

Tak. Aby nie oszaleć, trzeba było coś robić. Dusza konspiracyjna nie zna ograniczeń, nawet w więzieniu. Tam było radio, tam był aparat fotograficzny, tam były rzeźby, tam były stemple. To wszystko trzymało nas jakby przy życiu. Ja dostałem, po długich tygodniach, pozwolenie na książki. Był cały system obmyślonego szyfrowania. Mama, chcąc napisać list, którego by nikt nie czytał, podkreślała w książce, strona po stronie poszczególne wyrazy. I ja, szukając tych wyrazów układałem sobie list. Więc trzeba było być sprytnym, aby coś takiego wymyślić. Ja na jednym widzeniu powiedziałem mamie jak to ma wyglądać i potem dostawałem taki list. Niewinna książka ... Delikatnie



ołówkiem podkreślone słowa. I z nich wynikała treść. Oczywiście, niektóre formy gramatyczne się nie zgadzały. Nieważne! W każdym razie treść się zgadzała. Na pewno czynnie brałem udział w produkowaniu rzeźb z chleba. To była cała ceremonia, cały rytuał. Trzeba było chleb długo, długo żuć. Chleb w połączeniu ze śliną dawał taki efekt, że robiliśmy z niego placki. A Krzysztof Buszko z Konina rzeźbił w negatywie formy i odciskaliśmy na przykład orła w koronie, czy symbole Polski Walczącej. Ja to nawet mam do dzisiaj: ryngraf z orłem jagiellońskim w koronie. To się po jakimś czasie utwardzało i nosiliśmy to jako ryngrafy. Nie wiem ile desek [zużyliśmy], ale sporo, (potem widziałem to w filmach amerykańskich, jak oni próbowali ucieczek i szczeble z pryczy utylizowali na inny użytek); myśmy te deski brali i z tych desek powstawała niezliczona ilość krzyżyków, krzyży, piórników, jakichś takich historii. Część tych krzyży rozdałem po znajomych, po rodzinie. Sam mam też taki krzyżyk. Wyrzeźbiliśmy też pastorał papieski z taką podstawą dla Ojca Świętego na Jasną Górę. Ojciec Święty go zostawił na Jasnej Górze w muzeum 600-lecia. Teraz to trochę zreorganizowano, ale przez długi czas stał tam ten pastorał od internowanych. I ilekroć byłem w czasie pielgrzymek na Jasnej Górze, sam, albo ze znajomymi, potem z dziećmi, zawsze im [to] pokazywałem. Ja już tam miałem carte blanche, nie musiałem kupować biletów ani nic, siostra mnie poznawała z daleka i prowadziła. Już nie musiałem zachowywać kierunku zwiedzania, żeby obejść. Szedłem na szagę, mówiąc po poznańsku, prosto do tej gabloty, dzieciom pokazywałem i wracaliśmy. Cała procedura drukowania stempli pocztowych, bądź wykonywania tajnej korespondencji też była niezwykła. Wyglądało to w ten sposób, że wrywaliśmy płytkę z linoleum i w tej płytce rzeźbiliśmy matryce, np. Poczta Internowanych lub datownik, w którym co chwilę zmieniały się daty. Ot np. 422 dni Polska Walcząca, Poczta Internowanych... I to było zamaczane w roztworze kwasu cytrynowego. Myśmy tym jako tuszem odbijali stempel i list został wysyłany. Mam przykład takiego listu wysłanego przez prawdziwą Poczta Polską do domu. I kiedy ten ocenzone list przychodził, mama brała żelazko, przejeżdżała tym żelazkiem przez list i wtedy przypalony kwasek cytrynowy ujawniał prawdziwy napis. To są dzisiaj rarytasy filatelistyczne. Ale dla nas wówczas to był element jakiegoś skupienia się, kontynuacji pewnej pracy konspiracyjnej. To samo było z listem. Wysyłało się normalny, zdawkowy list do rodziny, gdzie był zwyczajny jakiś opis, a w interlinii pisało się drugim piórem, które zamiast atramentu miało roztwór kwasu cytrynowego. To było całkowicie niewidoczne. I taki list też mama brała, przeprasowywała żelazkiem, a tam się ujawniała prawdziwa treść. To się brało stąd, że nie zawsze, kiedy chcieliśmy dostawaliśmy widzenia. Ta historia skończyła się w ten sposób, że jeden z kolegów przesadził z procentem stężenia i list zaczął pachnieć już cenzorowi w Mielęcinie. A pewnie czytał to pod jakąś lampką, bo patrzy, (potem nam to opowiadali ci strażnicy) a tu mu się nagle coś pojawia. Przyłożył lampę, wyszedł list i ta procedura już się skończyła. I wtedy przystąpiliśmy do normalnego stemplowania tuszem. Ale to już było lato: czerwiec, lipiec. Ja osobiście pamiętam, [że] 2 marca generał Jaruzelski pojechał na wizytę do Moskwy. Spałem na łóżku piętrowym, wziąłem ołówek i na ścianie narysowałem wielkie, czarne okulary i napisałem: „projekcja filmu ‘Gdzie jest generał?’”. Wszyscy po prostu myśleliśmy, że on tam pojedzie i zostanie: albo go sprzątną, albo zostanie dobrowolnie. Straszne miałem z tym przeboje, bo chciano mnie, a właściwie rodziców, ojca, [pozwac] do prokuratury na kolegium za zniszczenie mienia społecznego. Pamiętam, że ten napis był długo, długo. Potem przeniesiono nas do innej celi, ale tylko po to, aby tę celę wyczyścić. Dużo też było takiej inicjatywy, np. radio tranzystorowe mieliśmy w pudełku z cukrem w kostce. Ten cukier był przyklejony do tego pudełka bokami i od spodu, a na wierzchu też przychodziła taka warstwa cukru przyklejona do kartonika. I trzeba było całą tę warstwę podnieść, a w środku leżało radio tranzystorowe. Słuchaliśmy przede wszystkim Głosu Ameryki. Na Wolną Europę była jakaś zagłuszarka. Lepiej

funkcjonował Głos Ameryki. W ten sam sposób dotarła Smiena, taki malutki aparat rosyjski. Nie wiem, co się z tym stało. Wiem, widziałem, że były tym wykonywane fotografie. Zawiadywał tym Krzychu Buszko. Co się z tym potem stało? Czy te zdjęcia zniknęły? Czy te filmy zostały przechwycone? Teraz przygotowując książkę o internowaniu rozmawiałem z kolegami z Konina i nie możemy dojść, co się stało z tymi fotografiami. I również w różnych materiałach esbeckich (w tej części, do której mieliśmy dostęp), ja i koledzy [szukaliśmy] i też nigdzie tych fotografii nie znaleźliśmy. Jest jeszcze podejrzenie, że ktoś się bawił i że był sam aparat bez filmu. Też tak mogło być.

### **Kończymy historię internowania.**

Tutaj jeszcze może wróćę do tej myśli, że to [moje] internowanie, kiedy ja [sobie] po prostu siedziałem w celi, nie obyło się jednak bez represji wobec rodziny. Na przykład [przez] straszne problemy przechodził ojciec, bo w tej pracy to można zrozumieć... Malutki zakład, kilkanaście, dwadzieścia parę osób. Nagle cały zakład jest prześwietlany przez jakichś tam ubeków. Dyrektor ma problemy, że ma takich pracowników. Ojciec raz, drugi wzywany na jakiś dywanik, że ma wpłynąć na syna itd. Więc to był ogromny stres. Wiem, że wówczas była struktura wynagrodzeń, jakaś trzynastka, jakieś premie... Oczywiście, nigdy nic nie dostał. Byliśmy skazani na tę jego gołą pensję. Jakaś tam pomoc wówczas funkcjonowała. Natomiast muszę powiedzieć, że to, co niosę do dziś jako bagaż, już nie mówię o znajomych, rodzinie, bo różnie się ludzie zachowywali, ale nawet ta pomoc strukturalna: nigdy do nas, do Witkowa nie dotarła. Czyli ta pomoc była odwrotnie proporcjonalna do tego, w jakim stopniu byliśmy zaangażowani. Ja rozumiem, że np. duszpasterstwo w Koninie miało sporo swoich zajęć, ale nikt nigdy przez te 30 lat nie dotarł do mojej matki ...

### **Skończyliśmy na represjach, jakie dotknęły Pana rodzinę...**

Tak, na przykład rodzeństwo jak wracało ze szkoły, moje siostry były zaczepiane z jakiegoś brązowego fiata. Moja siostra, Lucyna miała na tyle przytomności, że kiedy auto odjechało spisała numery. To może też świadczyć o tym, jaki panował duch. To nie były bicia, prześladowania, ale świadomość tej [ich] obecności była zaznaczana cały czas. Nawiedzanie sąsiadów, namawianie ich do relacjonowania kto przychodzi... To już są kolejne lata.

### **Z tego, co Pan mówi można wnioskować, że rodzina była pozostawiona sama sobie? Czyli nie było pomocy, zarówno ze strony struktur związkowych jak i ze strony innych rodzin?**

Na pewno była ogólna sympatia. Na pewno! Ja nie chcę nikogo skrzywdzić. Wiemy dokładnie, że tych struktur zakładowych nie było. Solidarności zakładowej nie było. Ja nie byłem członkiem żadnej struktury Solidarności. Więc z tej strony ta pomoc nie szła. Potem byłem gdzieś tam w tych spisach internowanych, ale to było daleko. To już było poza ośrodkiem. Ja to tak sobie tłumaczę. Wiem, że potem, już w późniejszych latach 80-tych, w trzecim, czwartym, piątym, (ponieważ byłem na listach represjonowanych), taka rodzina z Francji przysłała nam jakieś paczki. Zaprzyjaźniliśmy się. Nawet mieliśmy tam później jechać. Takiej pomocy zewnętrznej było więcej aniżeli w kraju. Mnie się wydaje, że to dlatego, że te struktury nie działały w Witkowie. Bo gdyby działały... Na pewno wiele było takiej sympatii czy nawet doraźnej pomocy. Na przykład ks. Tomasz Peta, będąc już wtedy wikariuszem gdzieś chyba w Inowrocławiu, pomagał dotrzeć mamie do Mielęcina. Mama przyjeżdżała do Inowrocławia, tam miała się przesiąść w pociąg do Włocławka, we Włocławku na autobus. Wiele razy ksiądz Tomasz miał umówione auto i ktoś ze znajomych podwoził mamę. To powodowało, że mama nie

musiała wyjeżdżać z Witkowa pierwszym autobusem o 3 czy o 4 w nocy. Mogła trochę później. I tak całą noc nie spała, bo jakichś paczków, chruścików, kanapek musiała przygotować. Dla niej taka wyprawa to były 2-3 noce z obowiązku nieprzespane. Już nie mówię o nieprzespanych nocach ze stresu. Czy to się da wymierzyć? Nie wiadomo. Czy kiedyś, ktoś to zbilansuje? Też nie wiadomo. Mój brat, świętej pamięci Krzysztof, był wtedy we wojsku, w czynnej służbie. Ponieważ był wielki, przystojny, wysoki człowiek, wzięli go do kompanii reprezentacyjnej WP w Warszawie. Ale kiedy zobaczyli jakiego ma brata, to z mety został wywalony gdzieś do Muszak, w Olsztyńskim, gdzie od ostatniego autobusu szło się 15 km. pieszo na poligon. Do obsługi poligonu. Tam budka na poligonie, pięciu wojskowych, jakiś plutonowy i ich czterech do obsługi. Więc taką dostał nagrodę. I tak spędził większość czynnej służby. Czy to jest represja? Nie wiem. To już każdy musi sobie odpowiedzieć. Natomiast to, że część rodziny jeździła inną drogą, żeby nie musieć się z nami widzieć, to też jest prawda. I też trzeba to powiedzieć. To, że część sąsiadów unikała kontaktów z rodzicami, to też jest prawda. To, że nagle jacyś koledzy, koleżanki, przyjeżdżają do mamy z Lublina i ją pocieszają... Pozbierali jakieś produkty żywnościowe dla mnie, to też jest prawda. Ta pomoc, np. z Lublina, czy skądś tam, była może nawet większa niż na miejscu. Ale nie chcę być zrozumiany i nie chcę powiedzieć, że to było kompletne opuszczenie. Nie! Tylko trzeba powiedzieć, że w takim małym środowisku, taka manifestacja znajomości, przynajmniej w pierwszych tygodniach, też wymagała odwagi. I nie wszystkich było na to stać. Potem, jak już wróciłem z internowania, to już było trochę lepiej, bo pewne kontakty ja wymuszałem. Ale rzeczywiście, póki mnie nie było, rodzina była trochę marginalizowana.

### **Po powrocie z internowania wznowił Pan studia?**

Tak, byłem zwolniony w lipcu, 23-ego. Oczywiście pielgrzymka, więc zaraz rzuciłem się w wir organizacji. Pójść jednak nie mogłem, bo nie chciałem sprowadzać niebezpieczeństwa na pozostałych. Więc oczywiście dojechałem gdzieś na trasę, dopiero na koniec. I we wrześniu pojechałem do Lublina przygotować się jakoś do następnego roku. Wydawało mi się, że będę mógł kontynuować studia. W tym sensie, że jakoś nadrobię ten pierwszy rok. Żal mi było kolegów, koleżanek z tego roku. No, ale niestety, musiałem jeszcze raz wrócić do roku pierwszego. No i oczywiście z tym nimbem, animuszem całego internowania wracam w to „siedlisko reakcji”, jakim był wtedy Lublin. To Pan musi sobie wyobrazić, ile człowiek miał chęci do studiowania, a ile do działania. Z mety zostałem prezesem Koła Polonistów. I od tej pory aż do 1986 roku, to już albo aresztowania, albo rewizje, albo zatrzymania. Albo braci, albo moje. Albo w Lublinie, albo w Witkowie. To była maszynka, która funkcjonowała.

### **Czy wytoczono Panu jakieś procesy?**

Ja miałem łącznie kilkanaście postępowań prokuratorskich i trzy sprawy w sądzie. Jedna z nich została umorzona w 85 roku, ale tylko dlatego, że została sfingowana po to tylko, żeby mi nie dać paszportu. Miałem zaproszenie na roczne stypendium językowe do Instytutu Katolickiego w Paryżu i poszedłem z tymi dokumentami, złożyłem wnioski o paszport. Oczywiście zostałem z mety aresztowany, ledwie wyszedłem z biura paszportowego. To też jest obecnie przedmiotem tej sprawy w sądzie rejonowym w Koninie. Rok czasu trwała taka przepychanka, wznowiono śledztwo z lat poprzednich, tylko po to, aby mi tego paszportu nie dać. Mnie i mojej siostrze Renacie. Więc to też jest pytanie- czy gdybym wtedy pojechał, z moim zapałem, zaangażowaniem nauczył się francuskiego...? Na pewno pierwsze kroki skierowałbym do paryskiej Kultury. Mnie od razu powiedziano: „Przecież Pan tam nie jedzie na język. Pan tam jedzie organizować się.”. Oni doskonale wiedzieli, co ja tam naturalnie mogę robić. Nie wiem,

czy byłbym dzisiaj innym człowiekiem, czy robiłbym co innego? Może bym się inaczej wykształcił, może byśmy dzisiaj nie rozmawiali? Nie wiem. W każdym razie, czy to jest represja, czy jakiś skutek...? Paszport dostałem w 90 roku, dopiero po przemianach Okrągłego Stołu. A tak moja siostra Renata i ja (bo myśmy co roku składali) mieliśmy tzw. WKS, czyli w takiej nomenklaturze esbeckiej to był zakaz na wszystkie kraje świata. Mam na to dokumenty. Mieliśmy zakaz na wszystkie kraje świata z jakiegokolwiek powodu.

### **Czy były jakieś dłuższe okresy zatrzymania, śledztwa, aresztowań? Czy to było wszystko 48 godzin?**

Najczęściej były to zatrzymania do tych czynności procesowych, czyli dwudniowe. W momencie, kiedy mogłem być aresztowany na dłużej, kiedy braci aresztowano w Witkowie (oni ponad miesiąc siedzieli), mnie się udało uciec. Wiedziałem, że jest problem i do Witkowa nie dojechałem. Zresztą byłem aresztowany przez milicję i milicjant, jakiś ormowiec, czy wojskowy, czytając stempelek w dowodzie osobistym przeczytał moje nazwisko i stwierdził: „O, Pan w banku pracuje?”. A ja na to: „tak, tak, tak”. A on czyta, dureń, stempelek z książeczki walutowej. Kiedyś był taki obowiązek, że trzeba było w dowodzie osobistym stemplować książeczkę walutową. No więc, to mnie uratowało. Ja wiedziałem od siostry Natalii, takiej siostry zakonnej, która pracowała w Witkowie, że bracia zostali aresztowani. Moja siostra przyjechała wtedy do Poznania i ja już do Witkowa nie przyjechałem, bo tak samo byłbym aresztowany. Ukrywałem się wtedy przez dwa miesiące i nawet zrobiłem taki wypad do Konina- te dokumenty są dzisiaj w IPN – i oni nie wiedzieli, kto to zrobił. A ja kupiłem w tym miejscu, w którym się ukrywałem kilka rolek papieru do kalkulatorów, do maszyn, takich, jakich się dzisiaj [używa] do kas fiskalnych. Wykonałem taki stempelek Solidarności, pociąłem, wsiadłem w pociąg ekspresowy z Warszawy do Poznania i w Koninie wyrzuciłem wszystko przez okno. Oni nie wiedzieli przez długi czas [kto to zrobił]. Teraz dopiero się do tego przyznają. Ale w tych materiałach esbeckich jest to zapisane, że nieustalona struktura... Koledzy mi mówili, że byli przesłuchiwani na tę okoliczność. A ja tam napisałem, że Solidarność Witkowo walczy.

### **I jak długo się Pan wtedy ukrywał?**

Dwa miesiące. Dopiero jak zwolniono braci - bo znowu była jakaś amnestia w 84 roku- to wtedy dopiero też wróciłem do domu.

### **Gdyby mógł Pan opisać swoją działalność w tym okresie? Był Pan wtedy jednocześnie studentem...**

Znakomicie to odzwierciedlają te dokumenty z IPN. Oni twierdzą, że ja tam byłem głównym dostarczycielem [bibuły]. Powiem tak: na pewno funkcjonowała wtedy w Witkowie literatura bezdebitowa i one oczywiście od razu wskazywała na pochodzenie. Bo jeśli to były jakieś pisma z Lublina lub z Warszawy, to wiadomo było, że ktoś musiał je przytransportować. I oni skupiali się na tym, że głównymi zarzutami wobec nas w Witkowie, wobec całej gromady, był kolportaż wydawnictw nielegalnych, za które według nich ja byłem odpowiedzialny oraz rozrzucanie ulotek, wzywanie do bojkotu wyborów, malowanie wrogich haseł. Mój brat, który został potem malarzem, (już był malarzem) miał do tego smykałkę. Na tym to polegało. To w Witkowie mogliśmy robić pomimo braku tych struktur zakładowych. Zresztą potem ten schemat powtórzył się w 1989 roku, bo ja studiując już wtedy w Krakowie, brałem wszystkie materiały, które były robione przez Komitet Obywatelski w Krakowie (wybiegamy trochę w przyszłość) wymazywałem „krakowski” i wpisywałem ręcznie „witkowski”. I cała ta struktura zorganizowana w Krakowie trafiała do Witkowa. Te wszystkie dokumenty

przerabialiśmy „krakowski” na „witkowski”. Nieraz [coś] przeoczyliśmy i potem nam koledzy mówili: „Słuchaj, to trzeba poprawić.”. I ktoś tam zamazywał słowo: „krakowski”. Wydawaliśmy potem biuletyn „Gazetę Witkowską”. To wszystko są materiały powielane z Krakowa. No, ale wyprzedziliśmy. Czyli te lata do stanu wojennego to działalność przede wszystkim przy kościele w tych strukturach formalnych, pielgrzymki, duszpasterstwo, itd. I duży kontakt mamy z panem Borysem, który jest dla nas postacią inspirującą, takim niezłomnym bohaterem. Ze wszystkim chodzimy do niego, opowiadamy mu. Mieliśmy takie naklejki „duszpasterstwo robotnicze”, „duszpasterstwo młodzieży”. To też były pomysły powielane. On to tak rozsunął na bok i mówi: „rolników, rolników...to jest ten region...” A myśmy nie mieli do tego dostępu. Kontaktów strukturalnych nie było. Więc potem, w 89 roku, to wszystko jakby wybuchło na nowo.

### **Czy zakończył Pan studia w normalnym trybie, nie robiono Panu problemów?**

Probleatów nikt mi nie robił. Zakończyłem to w 86 roku, ale byłem osobą do tego stopnia niosącą problemy, że w pewnym momencie kierownik akademika i ksiądz kapelan poprosili, abym jednak znalazł sobie jakąś stancję, jeśli chcę dalej robić to, co robię, bo tutaj jednak jestem nośnikiem dużego zagrożenia. Była taka sytuacja, że SB z Konina przyjeżdża do Lublina, żeby zrobić u mnie rewizję, i żeby mnie zatrzymać. Ja się jakoś dowiaduję, że jest taka sytuacja (nie było mnie w akademiku- w akademiku to ja wpadałem za pięć dwunasta w nocy, a o piątej, szóstej rano już mnie nie było), a ponieważ pomysł SB konińskiej palił pewne pomysły SB lubelskiej, więc SB konińska z SB lubelską przeszukiwała zusammen, 40 funkcjonariuszy, 50 pokoi. Przy tej okazji, zupełnie niepotrzebnie wpadło mnóstwo innych... Przyczyną sprawczą był przyjazd tych esbeków z Konina. Oni mieli nakaz prokuratorski i musieli wejść. Wiem, że tam czekali pół dnia, bo to teraz z tych dokumentów wynika. Przystosowali sobie do działania tych esbeków z Lublina. Takich historii jest całe mnóstwo. Ja musiałbym sobie sporządzić taką listę. W tej chwili pracuję nad tym, że powstanie taka publikacja. Tylko ja nie mogę tego pisać z głowy. Chcę to poprzeć papierami z IPN. A to trwa. Już dostałem 900 stron, a to jeszcze nie jest koniec. Więc tych działań było mnóstwo do 86 roku. W 86 roku wyjeżdżam z Lublina i potem się dowiaduję, że te wszystkie plany, te wydziały III, IV podążają w ślad za mną, do Poznania, do Krakowa...

[przerwa]

### **Które z tych wszystkich wymienionych przez Pana represji, czy to w okresie stanu wojennego, czy później, uznałby Pan za najcięższe (takie, których skutki trwają być może do dzisiaj)?**

Na pewno skutkiem takiej represji (nie chciałbym tutaj głębiej wchodzić) była sprawa tego szantażu w czasie internowania. Jako młody człowiek strasznie to przeżyłem. To mnie kosztowało dużo nerwów, dużo energii. Ten fakt szantażu [związany] z sympatią, że jej się stanie krzywda. Ja potem wiedząc, że jednak nigdy nie zaprzestanę takiej działalności, nie chciałem na nią ściągać tego niebezpieczeństwa. I potem nasze losy potoczyły się jakoś inaczej. Na pewno jedną z takich konkretnych represji były te zakazy paszportowe. No i inwigilacja rodziny polegająca na tym, że nieletnie, bo wówczas dziesięcioletnie czy dwunastoletnie siostry mają prokuratorskie nakazy kontroli korespondencji. To nie sprzyjało normalnemu życiu. W jakiś sposób relegowano nas z normalnego życia i z normalnego wykształcenia. To może trwa do dzisiaj, może nie, nie wiem... Trudno powiedzieć. To, że bracia byli bici w czasie przesłuchań. Bo brat Krzysztof był bity. I to jest w dokumentach. Mam część jego teczki. Brat pisał wiersze i takie notatki sporządzał. Ja te notatki czytałem. Z nich jednoznacznie wynika, że był bity i szantażowany. Na porządku dziennym było wyśmiewanie się z nas i z naszej religijności. To stanowi też podstawę dzisiejszego oskarżenia. Znęcanie się

psychiczne... Może nikt nam ręki nie uciął, może życia nie straciliśmy tak jak górnicy w kopalni „Wujek”, ale też każdy miał swoją miarę. Gdybyśmy mieszkali w Katowicach pewnie bylibyśmy pod bramą. Czy bylibyśmy żywi? Nie wiem. Każdy robił to, co mógł we własnym miejscu.

**Przejdźmy do oceny tego całego okresu. Czy pomimo trudności i cierpień tamtego okresu któreś z tych wydarzeń czy doświadczeń uważa Pan za wartość w sensie pozytywnym? Mam tu na myśli np. jakieś przyjaźnie, które wówczas się zawiązały.**

Na pewno stan wojenny, chcąc nie chcąc, katalizował również pewne pozytywne cechy w ludziach. To, że można się było sprawdzić w lojalności wobec przyjaciół, kolegów. To, że można było wynieść przekonanie, że na kimś można polegać. To dla mnie było niezwykle ważne. Niezwykle ważne było to, aby się nie bać konfrontacji. Bo kiedy trafiłem do więzienia jako jedyny z całego województwa konińskiego, to przez trzy tygodnie ja byłem persona non grata. Nikt ze mną nie rozmawiał.

**Wtyka?**

No, takie podejrzenie „kogo oni nam tu przysłali?”. Dopiero jak ktoś przyjechał w odwiedziny, dał cynk do Konina, ksiądz proboszcz z Konina pojechał do księdza proboszcza w Witkowie, ten mu odpowiedział, że „ależ tak, wszystko w porządku”. Potem kolejne odwiedziny za dwa tygodnie. I wtedy byłem kolega wszystkim. Każdy chciał ze mną jak z małpą sobie pogadać. To jest też pozytywne doświadczenie: żeby się nie obrażać, nie bać; że każda sytuacja może być złożona; że nie jest tak, iż albo ktoś jest przekreślony od początku albo nie; że jednak to musi być rzetelnie sprawdzone. Dla mnie najważniejszym doświadczeniem jest to, że człowiek poznaje własną siłę wewnętrzną. Bo kiedy jest się siłą zaprowadzonym na rozmowę z ubekiem i ten ubek trzyma ten niby dokument [mówiący o tym], że „chcę Pana zwolnić” (co, oczywiście nie jest prawdą), to wtedy jest pokusa, aby znaleźć tysiąc powodów, aby zracjonalizować sobie podpisanie czegoś, przyznanie się albo złożenie obietnicy, że się już nic nie będzie robić. Ja w czasie jednego z takich przesłuchań w czasie internowania powiedziałem, że ja nigdy nie miałem zamiaru szkodzić „ojczyźnie wszystkich Polaków”, jak to powiedział Jan Paweł II. To nie mogło być przyjęte. Stąd też przekonanie, że z takim systemem nie ma półprawd, nie ma gry. Dziś wiele osób wówczas represjonowanych mówi, że „on chodził, aby nawracać ubeków”. No to z całym szacunkiem dla księdza Malińskiego, to nie było możliwe. Każdy, nawet niewykształcony człowiek wiedział, że ta rzeczywistość nie jest taka. A co dopiero osoba wykształcona, z profesorskimi tytułami.

**Jak ocenia Pan zmiany, które nastąpiły w Polsce po roku 89?**

Naszą jedyną partią w Witkowie był zapał i praca. To nas określało. I, jak już mówiłem, mocno rzuciliśmy się w wir tych działań. Przepracowaliśmy całe schematy działań z Krakowa na Witkowo. Komitet Obywatelski był w Witkowie wcześniej niż w Koninie. Więc myśmy mieli to wszystko precyzyjnie przygotowane. Jak to dzisiaj oceniam? Dzisiaj oceniam to w ten sposób, że nie można mieć pretensji ani do nas w Witkowie ani do 10 milionów Polaków, że się uchwycili tej szansy, tej nadziei. Jeżeli dzisiaj widzimy, że w jakimś sensie było to złudne, czy wyreżyserowane, nie można przez pryzmat dzisiejszej wiedzy oceniać tego zapału, [który był] wówczas. Nie robię tego wobec siebie ani wobec Lecha Wałęsy ani wobec innych. Mnie się wydaje, że taki wymóg sprawiedliwości polega na tym, żeby zachować miarę do czasu. To był inny czas. Mnie dzisiaj drażni to, co też Pan powiedział, określenie „karnawał Solidarności”. Wszyscy młodzi historycy w IPN mówią: „karnawał Solidarności”. Mówię: „Chłopie,

żenisz brodę z wąsami, nie można tak.”. Ja wiem, że to jest fajne powiedzenie, takie medialne. Ale to nie był karnawał. Bo karnawał, nawet jeśli Pan go przeżywa pozytywnie i radośnie, to jest to perspektywa, która w świadomości ma początek i koniec. I to jest typowo ludyczne nastawienie „do zabawy”. Natomiast cały zryw Solidarności (tak jak i Powstanie Wielkopolskie) to są kolejne etapy walki tego narodu z najeźdźcą. Czy to będzie taki, czy inny, czy nawet będzie swój- to jest zryw. I zrywy trzeba oceniać bardziej w aspekcie, nie wiem jak to powiedzieć... na pewno nie nazywałbym tego karnawałem. Ja wiem o co chodzi w tym powiedzeniu, ale mnie osobiście to drażni i jak pisałem tę książkę z panami z IPN to nawet próbowałem im to wyrzucić z ich wstępu, ale mnie zbyli. Więc żeby zachować miarę w ocenie tamtych wydarzeń. Dzisiejsze skutki tego? Można powiedzieć, że jestem załamany. Bo nie tak to sobie wyobrażałem, nie o taką Polskę walczyłem. Jeśli mogę to tak sparafrazować. Natomiast żywię szacunek do Lecha Wałęsy jak i do wielu innych ludzi. Tak samo do Geremka... Przeszedłem przez podobne momenty decyzyjne. Wiedziałem, że pewne podjęte decyzje będą skutkować na rodzinę, czy na wykształcenie. Oczywiście kaliber jest nieporównywalny. Absolutnie mam tego świadomość, żeby to było dobrze zrozumiane. Tylko nie możemy tego wszystkiego przekreślać jakimś niepowodzeniem czy rozczarowaniem. Dla mnie ocena nie jest tylko oceną w sensie konstatacji. Tak jak w latach 70- 80-tych to co mogliśmy zrobić, to był pewien rodzaj świadectwa, tak samo jest dzisiaj. Ja nigdy nie miałem aspiracji do żadnych struktur władzy, do jakichś profitów z tego tytułu. To co wyniosłem z domu - zawsze robiłem swoje: czy to była działalność w Witkowie, czy wydawanie gazety, czy drukowania innych historii. Wszystko to były prace społeczne dla pożytku wspólnego. Dzisiaj, kiedy zarabiam i mam rodzinę, nadal towarzyszy mi ten zapach. Założyliśmy tutaj na wsi stowarzyszenie dla dzieci. Gramy w piłkę, ale też uczymy o ekologii, jeździmy na wycieczki, byliśmy pieszo w Częstochowie itd. Staram się robić swoje. I przekonywać ludzi, że rzeczywistości nie da się odbierać dychotomicznie, że nie można kogoś wyłącznie przekreślić albo pochwalić.

### **Dotarliśmy już do obecnej Pana sytuacji. Czy mieszka Pan sam, z rodziną, kiedy Pan się ożenił?**

Po studiach w Krakowie zostałem w Krakowie. Wówczas założyłem taką firmę usług wydawniczych. Wiązało się to z wydawaniem „Gazety Witkowskiej” czy książek. Potem poznałem osobę, z którą się ożeniłem. Stanowimy dzisiaj małżeństwo. Wyprowadziłem się z Krakowa na wieś, pod Kraków. W tej chwili prowadzę działalność gospodarczą, a w wolnych chwilach nadal zajmuję się sprawami wydawniczymi, edytorskimi. Wszystko to na powrót, głównie skierowane jest w stronę Witkowa.

### **Mógłby Pan powiedzieć troszkę o tych inicjatywach wydawniczych i zaprezentować je?**

Jak już mówiłem wcześniej, w 89 roku, kiedy nastąpiła szansa, żeby znowu coś zmienić, wydawaliśmy dla Witkowskiego Komitetu Obywatelskiego taki biuletyn informacyjny. I to, znowu, winieta żywcem wzięta z Krakowa. Ten biuletyn sygnowaliśmy jako wydawnictwo im. Adama Borysa w Witkowie. Oczywiście, jak ktoś później napisał w książce, żadnego wydawnictwa w Witkowie nie było. Po prostu, myśmy chcieli znowu przywołać jakiś symbol. Ten biuletyn organizacyjny zmienia się w Gazetę Witkowską, którą wydajemy w latach 90-tych, i która jest tytułem prasowym zarejestrowanym na mnie. To jest moja własność. Gazeta funkcjonowała przez kilka lat, póki się redaktorzy nie pożenili i nie mieli innych obowiązków domowych, które uniemożliwiłyby pracę społeczną. Część tych naszych działań znalazła odzwierciedlenie w publikacjach czy książkach. Ukazała się w 91 roku taka książka „Sprawcy”. I tutaj, wśród sprawców niby

tego przełomu 1989 roku (i wcześniejszego) jest wymieniony Stefan Bratkowski jako twórca prasy niezależnej. I tutaj jest cały ogromny artykuł o zwyczajnym miasteczku, gdzie są opisane takie przygody jak najścia ubeków na naszą posesję i szukanie bibuły itd. Oczywiście niczego nie znaleźli, bo pies miał podwójną budę z ocieplanym dachem, gdzie ocieplenie stanowiła bibuła. W tej książeczce to jest opisane. Później przyczyniłem się też do wydania takiej książeczki Ewy i Wojtka Zalewskich „Zakazana Solidarność w regionie konińskim”. I tu też może nie tak, jakbym sobie tego życzył, bo mam sporo uwag do tej książki, ale przynajmniej jest w tej książce kilka uwag o Witkowie i o naszej działalności. To jeśli chodzi o książki dokumentujące naszą działalność. Zajmuję się również twórczością Czesława Miłosza, więc razem z historykami z IPN opublikowałem książkę o operacji „Poeta” podczas pobytu Czesława Miłosza w kraju w 81 roku. Dla mnie to był moment inicjacji humanistycznej. Wtedy z Inowrocławia pojechałem do Lublina i tam już zostałem na studiach. Teraz z okazji 90 rocznicy Powstania Wielkopolskiego wydaliśmy książeczkę, która wcześniej ukazała się w Brazylii, w 64 roku- monografia o Powstaniu Wielkopolskim w Witkowie. I teraz wydaliśmy nowe, poszerzone wydanie tej książki z setką ilustracji w mojej redakcji. Na okładce znajduje się postać dowódcy oddziału witkowskiego, który bardzo się wślawił w walkach o Inowrocław na przełomie 18 i 19 roku. Nazywał się Stanisław Marcei Połczyński i zginął w Katyniu. Ciekawa jest też symbolika [jego] drogi, bo [pochodząc] z Witkowa walczył o Inowrocław. Potem jako wojskowy był w 59 pułku piechoty w Inowrocławiu. Potem, po przewrocie majowym znalazł się w Lublinie, w 8 pułku legionów. Stamtąd zakończył drogę w Katyniu. Nawet nie wiedziałem, że podążałem śladami innego witkowianina sprzed lat. Osobiście ta postać jest dla mnie bardzo droga i osobiście dołożyłem wszelkich starań, aby ta książka mogła dzisiaj wyglądać bardzo ładnie.

### **Dlaczego ta książka się ukazała w Brazylii? Czy znalazł się tam ktoś z mieszkańców Witkowa?**

Nie, nie. Tę książkę napisał historyk, wojskowy i uczestnik Powstania w Poznaniu w 33 roku. Ale w 33-34 roku nie mogła się ukazać, dlatego że rząd polski podpisał pakt z Niemcami i chodziło o to, aby ich nie drażnić. No i do 39 roku ta monografia się nie ukazała. A w wyniku działań wojennych on jako żołnierz znalazł się na emigracji w Brazylii. Miał ze sobą ten rękopis i w 64 roku to wyszło. To zupełny przypadek. Na czym dzisiaj polegają te czynności? Staram się w Witkowie być często. Mam tam dużo znajomych, przyjaciół, przede wszystkim żyje jeszcze mama i rodzeństwo.

### **Jaki jest w tej chwili stosunek Pana rodziny do tej przeszłej działalności opozycyjnej? Czy mają żal, czy czują się dumni?**

Wydają mi się, że nigdy nie usłyszałem od rodziców, od ojca, póki jeszcze żył, ani od mamy, cienia żalu. Tak byliśmy wychowani, że to był obowiązek. Napisałem to w jakimś artykule, że to był odruch. Myśmy byli tak wychowani, że te rzeczy to był odruch. Ja dzisiaj konfrontując się z życiem rodzinnym, z żoną, z wymaganiami domu, widzę, że mam pewną skazę. Jednak ten wysiłek publiczny, społeczny, przedkładam nad domowy. Powiem, że jest to pewna skaza wychowawcza. Ale tak byliśmy wychowani. W pierwszym rządzie mieliśmy wpojone, że jeśli ktoś coś zrobił, to na pewno z tego tytułu nie mieliśmy pretensji. Nigdy nie spotkały nas z tego tytułu żadne zaszczyty. Bo na pewno łatwiej byłoby dziś powiedzieć, gdyby prezydent odznaczył matkę – „Jestem dumna, bo jestem w Pałacu Prezydenckim, dostałam medal”, ale myśmy nigdy żadnych medali nie dostali. Ja się nigdy nie starałem o żadne odszkodowanie, mimo że mógłbym. Są ku temu podstawy. Nawet jeśli, to co potem z tym zrobić? Na pewno trzeba by wymyślić jakiś cel społeczny. Bo tego wyrzeczenia, tego poświęcenia już nikt



nikomu dzisiaj nie zapłaci. Bo to przeszło, przeminęło i już jest nieprzeliczone. Można by to obrócić na inny cel i należałoby się zastanowić, czy nie warto byłoby tak zrobić. Wydać za to jakąś publikację i rozdać ludziom. Czy jakieś dzieło? Ale to nie są takie pieniądze, żeby można było za to zbudować jakieś dzieło. Na pewno jest jakaś duma, jakieś przeświadczenie, że przynajmniej w tym okresie zrobiliśmy, co mogliśmy zrobić, że zachowywaliśmy się jednak lepiej niż gorzej. I dzisiaj tamto doświadczenie osobiście przekładam sobie na obowiązek dokumentowania tego wszystkiego. Więc dlatego powstało parę artykułów prasowych w minionych latach. Na rocznicę stanu wojennego pojechałem z taką prelekcją z moim kolegą z Poznania do szkół w Witkowie. Tam oni mogli z nami, jako internowanymi porozmawiać. Więc nie konsumuję żadnej nagrody, tylko robię coś dalej. Nasze spotkanie będzie, miejmy nadzieję, między innymi temu służyć. To jest to, co powinniśmy teraz robić. Nie zajmuję się ocenianiem, nie zajmuję się zabieganiem o nagrody. Mam osobiście powód do jakiejś takiej łączności z tradycją Powstania Wielkopolskiego, poprzez Powstanie Warszawskie. Kiedyś, kiedyś w Poznaniu na targu (i to chcę pokazać) kupiłem sobie taki medal, który był wręczany w 21 roku uczestnikom wojny od 18 roku do 21. I to się nazywa „Polska swemu obrońcy”. Taki sam medal miał Stanisław Połczyński. Też był odznaczony takim medalem. Nie wiem do kogo należał. Na pewno do kogoś, kto nie żyje, być może stracił życie w czasie wojny. Myślę, że jest to przechowanie pewnej tradycji. Dla mnie jest to nagroda za wszystko, co zrobiłem. „Polska swemu obrońcy...”, bo tak na to patrzyliśmy, i matka, i rodzice, i rodzeństwo, że myśmy bronili Polski. Nie robiliśmy tego dla osobistej korzyści. Jaka mogłaby być korzyść? I dlatego dzisiaj nie uczestniczymy ani w ocenach, ani w sporach, bo pod tym względem nic nam nie można zarzucić.

**Wspominał Pan wielokrotnie o aktach na swój temat, o teczkach, jakie Pan znalazł w IPN. Ile tego jest, czy już się Pan z tym zapoznał?**

Przyznam się, że nigdy też nie wykazywałem żadnej inwencji w stronę Instytutu Pamięci Narodowej. Mniej więcej przypuszczałem, co tam może być, bo jak się słyszy pewne rzeczy... Ale trzy lata temu sam IPN wezwał mnie jako świadka w przygotowywanym akcie oskarżenia. I po trzech latach finał jest taki, że wyodrębniono mój przypadek do osobnego rozpatrzenia i powstał z tego osobny akt oskarżenia. Aktualnie sprawa trwa w sądzie rejonowym w Koninie. I wówczas będąc w IPN, zostałem niejako przymuszony, musiałem się z tymi aktami zapoznać. W związku z tym, dobrych parę lat po powstaniu IPN, wystąpiłem przy okazji z wnioskiem o status pokrzywdzonego. I właściwie w ostatnich dniach obowiązywania ustawy o przyznawaniu takiego statusu dostałem status pokrzywdzonego 13 grudnia 2006 roku, czyli równo 25 lat po wprowadzeniu stanu wojennego. Koledzy w Poznaniu chyba tak symbolicznie wpisali tę datę. Tu jest faktyczne zaświadczenie. To skutkowało tym, że mogłem otrzymać dokumenty. I otrzymałem prawie 900 stron materiałów. Tak że to stanowi rodzaj osobistego, ogromnego archiwum. I w tym archiwum są materiały dotyczące mnie, mojej rodziny. I z tych szczegółów dowiaduję się, że nawet nie wyobrażaliśmy sobie jak ta machina się wokół nas kręciła, że wszyscy mieliśmy kontrole korespondencji, że na wszystkie kraje świata mieliśmy zakaz wyjazdu, że do 89 roku kwalifikacja na ponowne internowanie, że cała nasza trójka miała przez wiele, wiele lat prowadzone kwestionariusze ewidencyjne, że na Witkowo były dwie czy trzy sprawy operacyjnego rozpoznania o kryptonimie „Droga”. Koledzy Leszek Drela, Piotr Kabaciński mieli kwestionariusze ewidencyjne. Było tego sporo jak na takie Witkowo. I wydaje mi się, że dzisiaj moją rolę, w łączności z kolegami i rodzeństwem, jest udokumentowanie tego wszystkiego. Nie chcemy niczego oceniać, nie chcemy nikomu narzucać, zrobimy z tego dokumentację. Ktoś kiedyś weźmie książkę, jak monografię o Powstaniu Wielkopolskim po 90 latach, i

będzie mógł sobie wyrobić zdanie. Będą dokumenty, będą ilustracje, będą fotografie. Wydaje mi się, że to byłby taki pomysł na najbliższe lata.

**Bardzo dziękuję za rozmowę.**

To ja dziękuję, że Pan przyjechał. Dziękuję